

TUNEZJA 2008

05.12.2008

Piątek rano godzina 10.00, długo oczekiwany i odkładany wyjazd w końcu dochodzi do skutku.

Pierwotny plan zakładał wyjazd w Listopadzie niestety teść zapadł na raka i wyjazd stanął pod znakiem zapytania, przebukowaliśmy prom o miesiąc i gdyby to było po powrocie z Tunezji powiedzielibyśmy „insha'Allah”. Ponieważ Bóg w swej łaskawości zostawił teścia pośród żywych, pakujemy motocykl na przyczepkę i w drogę.



Czasu mamy wystarczającą ilość aby spróbować jak wygada przejazd do Genui przez Słowację. Przebijamy się z domu w kierunku słynnej zakopianki. Co za szczęście że nie musimy z niej korzystać na co dzień. Po godzinie udaje nam się przebić do rozjazdu na Wadowice i od tej pory aż do granicy podróż przebiega bez zbyt wielu niespodzianek, jedyne co mąci moje myśli to odkrycie, że nie zabrałem dokumentów samochodu i przyczepy. Od granicy jedziemy w kierunku na Bratysławę i powoli odkrywam że od czasu moich dawnych wyjazdów do Szwajcarii, na tej drodze zbyt wiele się nie zmieniło. Przejazd przez Wiedeń szybko i sprawnie, pogoda jak na tą porę roku bardzo przyjazna. Wjeżdżamy w góry i w rejonie Klagenfurtu deszcz przechodzi w śnieg i autostrada zmienia się w nartostradę, po minięciu Villach przecieramy drogę jako jedyni, przy hamowaniu przyczepka zaczyna ślizgać się na boki co powoduje że z 60 zwalniam do 20. Italia wita nas solarkami i pługami śnieżnymi co powoduje wzrost prędkości do przelotowych 110. Zerkam na czas przybycia i wiem że do Genui pozostało 3 godziny drogi co oznacza że możemy iść spać w jakimś przydrożnym motelu.

06.12.2008

Po śniadaniu niespiesznie ruszamy dalej. Genua musi być ładnym miastem, w charakterze przypomina Split ze względu na położenie na zboczu stromo wchodzącym w morze. Niestety oznacza to, że w mieście jest ciasno, co będzie miało reperkusje na koszty wyjazdu, a miejsca do parkowania są małe i dosyć drogie.

Pełni wiary że Italia to przecież Europa jedziemy do portu i z ufnością pytamy o parking i tutaj zaczynają się schody. Nie dość że każdy Włoch jest dumny z tego że mówi po włosku i innego języka nie potrzebuje, to jeszcze port Genua nie bardzo dysponuje parkingiem. Po krótkiej chwili uzyskujemy informację że parking płatny jest przy Ponte Mille Duo. Do odplynięcia jest jeszcze 7 godzin spokojnie ruszamy we wskazanym kierunku, oczywiście parkingu nie znajdujemy, zaczynają się poszukiwania na własną rękę, bo przecież jest niemożliwością abyśmy przez godzinę nie znaleźli miejsca na zostawieniu samochodu z przyczepą. Rzeczywistość jest brutalna, po godzinie wiem że znalezienie miejsca na postój graniczy wręcz z cudem.

Kluczymy po całym mieście, już nawet jesteśmy zdecydowani na wyjazd z miasta i szukanie miejsca na obrzeżach, próba przebicia się poza miasto bocznymi drózkami kończy się wysoko w górze na końcu wąskiej ślepej dróżki. Czasu coraz mniej i decydujemy się na powrót do portu, podejmujemy próby zostawienia auta w wolnych miejscach, jednakże ochrona skutecznie wybija nam te pomysły z głowy. Do odplynięcia zostają już niecałe 2 godziny, tłumy Tunezyjczyków okupują wszystkie możliwe miejsca(okazuje się że w tym samym czasie będzie odplywał drugi prom linii tunezyjskiej) w desperacji udajemy się ponownie do Włocha który nam powiedział o parkingu.

Próbujemy mu wytłumaczyć że do odplynięcia jest tylko półtorej godziny jak nie znajdziemy tego parkingu to prom odplynie bez nas. Nie wiem co sprawiło że się ulitował nam nami, czy to że widział nas już chyba szósty raz jak krążymy bez celu, czy też wiedział jaki mają burdel, koniec końców załatwił nam pilota który prowadząc nas

samochodem po około 700 metrach wskazał nam ciasny wjazd i rzeczywiście był tam garaż na kilkanaście samochodów.

Pan powiedział ile to będzie kosztować (w promocji po 10 euro za sztukę za dzień) i szybko rozpakowaliśmy motocykl, przebraliśmy się i ruszyliśmy do promu. Mała dygresja którą można nazwać zdobywaniem doświadczenia, gdybyśmy wiedzieli to wszystko wcześniej, to w motelu gdzie spaliśmy 300 km przed Genuą zostawilibyśmy całość na ogrodzonym parkingu za ułamek tej kwoty, ale wtedy byliśmy szczęśliwi że jednak pojedziemy. Inna sprawa to check in, główna zasada, to brak informacji, na szczęście biura do załatwienia formalności wyjazdowych zlokalizowane przy promie.

15 Minut przed terminem odpłynięcia wjeżdżamy na prom i po dalszych 15 jesteśmy w kabinie.

07.12.2008

Podróż promem to istna nuda zabita otwarciem sklepu z alkoholem i przerywana otwieraniem samoobsługowej restauracji. Chyba należymy do jedynych białych na pokładzie. Obsługa to Malezyjczycy którzy spełniają wszystkie funkcje usługowe i mówią po angielsku, włosi obsługują kasy i mówią tylko po włosku co prowadzi do kuriozalnych sytuacji w których Malezyjczycy pełnią rolę tłumaczy dla wyższej rasy.

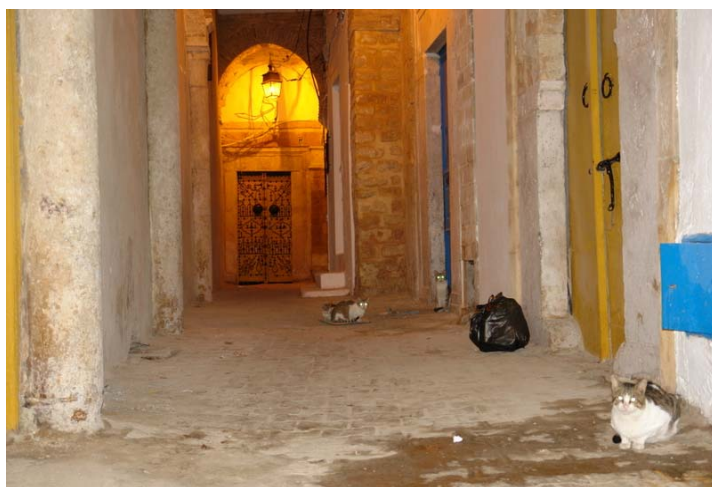
Dopłynięcie do portu zbiega się z przyplynięciem drugiego promu linii tunezyjskich, który widzieliśmy w Genui. Powoduje to zwiększona masę ludzi, ale sama odprawa abstrahując od ilości papierków, przebiega dosyć sprawnie, w porównaniu do Genui. Jedziemy do naszego zarezerwowanego hotelu jeszcze w Polsce przez Internet za kwotę 80Euro. Na miejscu stwierdzamy że budynek hotelu to wieżowiec w centrum Tunisu i ma pięć gwiazdek i były to prawdziwe gwiazdki co w Tunezji nie jest takie oczywiste.

Idziemy na krótki spacer, takie było założenie, ruch jak na główne miasto raczej mały. Idąc w kierunku mediny poznajemy naszego pierwszego przyjaciela który postanawia pokazać nam medinę by night. Wchodząc widzimy pozamykane sklepy i zamarte uliczki, ale nasz przyjaciel prze do przodu jak mały samochodzik, zatrzymując się od czasu do czasu wydając komendę „make a photo”.



Beata zaczęła głośno mówić, że gość chyba ma coś z głową, ale dla mnie sprawiał wrażenie zakręconego. Po nieudanej próbie dobijania się do zamkniętej restauracji, stwierdził że tutaj jest koniec wycieczki i rozglądając się trochę ze strachu wydał komendę „głiw mi samfink”.

Ponieważ na promie wymyśliłem że kupimy papierosy na podarki, wyciągnąłem paczkę i spytałem, czy pali, był wyraźnie zde gustowany ale papierosy wziął. Jak się oddalił zaczęliśmy robić to co lubimy najbardziej czyli zagłądanie w różne zakamarki.



Idąc jedną z uliczek spotkaliśmy grupkę miejscowych siedzących i palących swoje sziszę, którzy przyglądali się nam ze zdziwieniem i zainteresowaniem, jeden z nich w mundurze Policji zapytał czy szukamy wyjścia z mediny, był bardzo zdziwiony gdy powiedzieliśmy, że tylko zwiedzamy.

Stwierdził, że lepiej dla nas abyśmy poszukali wyjścia i uprzejmie wskazali nam kierunek, jednocześnie odprowadzając nas kawałek, upewniając się że wychodzimy z mediny. Po przyjeździe do hotelu przeczytaliśmy że medina wieczorem jest zamknięta i zdarzają się kradzieże.

Dowiedzieliśmy się też że dzisiaj jest święto i dlatego wszystko jest zamknięte.

08.12.2008

Po królewskim śniadaniu pakujemy się na motocykl i ruszamy w kierunku Sousse z zamiarem objechania Cap Bon. Już pierwsze kilometry pokazują że nawigacja wg Tunisia auto v.11 jest mocno uproszczona, próby przebijania w kierunku drogi na Cap Bon, powoduje kluczenie w obrębie aglomeracji, znaki drogowe też nie ułatwiają sprawy, pomaga pytanie policji która jest bardzo usłużna i chętna do pomocy. Krajobraz wzdłuż wybrzeża jest podobny do rolniczego terenu gdzieś w Beskidzie tylko zamiast drzew mamy palmy i oliwki. Dojeżdżamy do uzdrowiska które wygląda jak miasto duchów i wszędzie zarzynają barany.



Okazuje się że trafiliśmy na największe święto muzułmanów

http://dziedzictwo.ekai.pl/@@swieto_ofiarowania i nie dosyć że będzie trwać trzy dni to jeszcze w każdym miejscu będziemy mieli atrakcje w postaci szlachtowanych zwierząt. Z tego też powodu na statku były całe rodziny z dziećmi i całym dobytkiem, bo święto powinno spędzać się w rodzinie.

Pogoda lekko pochmurna ale temperatura przyjazna, na przylądku Bon wychodzi nawet słońce i po rozmowie z miejscowym i spożyciu tunezyjskiej herbaty oglądamy panoramę przylądka skąd przy sprzyjających warunkach widać Sycylię (160 km).





Okolo 16 docieramy do miejscowości Sousse, która jest typową nadmorską miejscowością wypoczynkową z dzielnicą turystyczną wybudowaną w pobliżu. Znajdujemy miejsce w hotelu Abu Nawas który okres świetności ma za sobą, ale pokój jest czysty i w pobliżu medyny. Udajemy się na spacer z zamiarem zjedzenia jakiegoś posiłku. Oczywiście większość knajp jest pozamykana w pewnym miejscu zachęteni napisem „restaurant” wciągnięci do środka przez kelnera znaleźliśmy się w czymś co u nas nazwałbym knajpą gdzie miejscowi spożywali głównie piwo, a Beata była jedyną kobietą, co nigdy nie było powodem żadnych problemów.

Szefuńcio zadowolony usadził na przy stoliku z dość zniszczonym blatem i aby nas uhonorować założył obrus. Ten obrus widział wiele i zniósł wiele i pewnie jeszcze nie jeden raz zostanie ktoś nim zaszczycony zanim zostanie wyrzucony, bo wypranie niewiele zmieni. Popatrzyliśmy na siebie i stwierdziliśmy jednomyślnie że blat lepiej wyglądał, nie chcieliśmy jednak robić panu przykrości, który z pewnością wyciągnął coś dla specjalnych gości.

Zamówiliśmy zupę, kelner niepewny czy mają zapytał kucharza który z ciekawością i zainteresowaniem przyglądał nam się z zaplecza. Kucharz stwierdził że stworzenie czorby nie sprawi mu najmniejszego kłopotu na drugie wzięliśmy kuskus z jagnięciną oraz rybę z frytkami. Zupa tradycyjna czyli frik to coś ala pomidorowa z kuskusem. Kuskus z

jagnięciną to też smaczna i pożywna potrawa, ciekawy jest sposób przyrządzania tych potraw bo w zasadzie i zupa i kuskus z jagnięciną to ta sama potrawa ugotowana w tym samym garnku. Różnica tkwi w wodności a mięso to mięso na którym zupa została ugotowana i mięso to jest podane z kuskusem i jarzynami z tej zupy i odpowiednio doprawione ostro do smaku harissą i wszędobylskim carry. Całość jest naprawdę smaczna a mięso jest miękkie i łatwe do zjedzenia.

Ryba to niestety makrela i nawet dosyć zjadliwa, ale usmażona na oliwie z carry nadaje całości specyficzny zapach, nawet bardzo szlachetna ryba Dorada podana w dobrej restauracji w Tunisie Chez Nous przez ten sam sposób przyrządzenia miała ten sam zapach, na szczęście smak był dużo lepszy. Na wszystko położona jest niepozorna zielona papryczka z blanszowana na głębokim tłuszczu.

Na zakąskę podano świetne małe czarne oliwki, jedne z lepszych jakie jadłem, oraz fenkuł na przegryzkę, całość dopełniało niezłe miejscowe piwo Celtia. W hotelu śpimy z gromadą niemieckich emerytów przybyłych chyba jak do sanatorium

09.12.2008

Po wizycie w medynie i po kilku nieśmiałych próbach podjętych przez miejscowych sprzedawców(święto działa, większość zamknięta) siadamy w kawiarni i zamawiamy herbatę tunezyjską. W tej knajpce dostaliśmy jedną z lepiej podanych herbat w pięknym czajniczku i stosunkowo dużo bo starczyło na trzy literatki.

Przez krótką chwilę kontemplowaliśmy życie codzienne w Sousse które oprócz plaż posiada też port morski co korzystnie wpływa na rozwój miasta.





Wracamy do hotelu i pakujemy się na motor w dalszą drogę, celem jest wyspa Djerba. Pierwszym celem jest Ej Jem gdzie są ruiny rzymskiego amfiteatru, przez krótki czas zaczyna kropić. Jadąc przez miasteczka na jednym z licznych rond zaliczamy lekki uślizg wg mnie cały motocykl zaczyna sunąć bokiem na szczęście przy małej prędkości, ujęcie gazu powoduje uspokojenie sytuacji i od tego momentu zaczynam dużo ostrożniej jeździć po rondach na których zlokalizowany jest cały brud świata i nie wiadomo co jeszcze. W El Jem przysiadamy w knajpce przed amfiteatrem i kontemplujemy widok przed nami oraz

spokojne życie mieszkańców i próbujemy kawy która nie wyróżnia się niczym szczególnym.



Przejeżdżamy przez Sfax który jest dość dużym miastem w którym pomimo święta panuje dosyć duży ruch samochodowy, jest tutaj też medyna.



Krajobraz zmienia się z gajów oliwnych na gaje palmowe a w drodze na Djerbę spotykamy wielbłądy i widzimy pierwsze pustynne krajobrazy.

Prom na wyspę gratis i bez kolejki dla motocykla, po 15 minut lądujemy na wyspie udając się do głównego miasta wyspy Houmt Souk.





Wybieramy nocleg z przewodnika, hotel miał być tani i dobrze zarządzany z niezłą restauracją. Pomimo tego próbujemy znaleźć coś na mieście w efekcie wypijamy kawę i zjadamy ciastko obiadowo kolację jedząc w naszym hotelu.

Restauracja zasługuje na wzmiankę ze względu na lodowatą atmosferę, jedynym źródłem ciepła były świece. W pokojach oczywiście też nie grzeją ale są koce i jest czysto. Rano okazuje się że z dodatkową atrakcją jest zimna woda.

10.12.2008

Wstajemy rano i po lodowatym prysznicu ruszamy na chwilę w miasto, według niejasnych zeznań może już być po święcie, małżonka ma w planie jakiś drobiazg dla siebie. Według przewodnika warto kupować w Poyasa. Udaje nam się odnaleźć sklep, ale życie dopiero się budzi, podobno około 10 ma być coś otwarte.

Szukamy kafejki internetowej i po krótkiej chwili stajemy przed drzwiami, oczywiście zamkniętymi, ale pan kelner z kawiarni obok zaprasza na herbatę aby oczekiwać na otwarcie kafejki. Po spożyciu herbaty i kawy obserwując gadających facetów, rozumiemy że jest dalej święto i nikt nie pracuje i nie ma co czekać na Internet, udajemy się do sklepu.

Pierwsza obserwacja sprawia pozytywne wrażenie, nie jest się wciągniętym przez naganiacza do sklepu, na stołeczku wewnątrz siedzi sobie z boku kobieta która wygląda na cerbera pilnującego, nie wiadomo czego bardziej, dosyć przystojnego faceta wyglądającego na jej męża, czy też towaru na półkach.

Właściciel z leniwym zainteresowaniem przygląda się co próbujemy zobaczyć i w pewnym momencie od niechcenia zaczyna wyciągać niepozorne pudełka w których ukrywa różne skarby. Aby lepiej oddać atmosferę miejsce trzeba sobie wyobrazić dosyć niepozorne wnętrze ze starymi meblami, nie najlepiej oświetlone, kobieta na stołeczku po prawej ubrana na czarno w czarnej chustce, za ladą dwóch facetów w stosie papierów, zawiniątek, reklamówek od czasu do czasu wchodzi jakiś miejscowy i próbuje sprzedać coś ze złota właścicielowi.

Pierścionki z brylantami powciskane w jakieś reklamówki, no ogólnie chaos. Po dłuższej chwili i decyzji co chcemy zaczyna się targ, pan majstruje coś przy kalkulatorze i wynik wskazuje na 600, ponieważ nie mam specjalnie odniesienia proponuje zważenie całości i

podaję swoją cenę która wynika z ceny złota w Polsce ostatecznie dobijamy targu na poziomie 500 E za 22 gramy. Podobno można płacić kartą, jednakże okazuje się, że mam iść do bankomatu i wybrać pieniądze, wędrujemy tam razem bo panu w tym momencie już bardzo zależy na sprzedaży zwłaszcza że jesteśmy pierwszymi klientami. W pewnym momencie udaje mu się podglądnać że dysponujemy też gotówką, od tej chwili transakcja główna dla nas, dla niego główną jeszcze nie jest. Rozprawiamy o rachunku certyfikacie gwarancji, w tym momencie pan mówi że jest Żydem i nie może sobie pozwolić na niesolidność w interesie.

Rzeczywiście na Dżerbie jest mała diaspora żydowska i jedna z synagog w getcie żydowskim jest celem pielgrzymek Żydów.

Po powrocie do sklepu pan postanawia pokazać specjalne rzeczy a szczególnie jakąś bransoletę zaczyna się kopanie po szufladach i światło dzienne raz po raz oglądają jakieś misterne cacka, niektóre są antykami jednakże do samego końca nie udało mu się odszukać tej specjalnej bransolety.

Wracamy do hotelu i udajemy się w kierunku następnego punktu wycieczki Tatawin, które jest stolicą regionu słynącego z ksarów. Temperatura powietrza jest ponad 20 stopni co powoduje że zaczynam rozmyślać o odpięciu podpinek. Jedziemy w kierunku miasteczka Zarzis które jest nadmorskim kurortem próbującym konkurować z Dżerbą, wyspę opuszczamy groblą łączącą nas ze stałym lądem. W Zarzis próbujemy znaleźć otwartą restaurację jednakże święto trwa dalej.

Opuszczamy Zarzis kierując się na Medenine i wydawało mi się że powinniśmy przez to miasto przejechać. Kilkanaście kilometrów za Zarzis GPS nakazuje skręt w lewo co pokrywa się ze znakiem informującym że droga prowadzi do Tatawin. Droga jest prawie prosta i prowadzi przez pustynny krajobraz, po porównaniu z mapą orientuję się że kiedyś była to droga gruntowa prowadząca przez szot, jest naprawdę gorąco. Dojeżdżamy do Tatawin i postanawiamy podjechać jeszcze kawałek aby zobaczyć Chenini, autentyczną wioskę berberów w której dzisiaj żyje jeszcze około 400 osób.





Na miejscu robimy parę fotek i wybieramy hotel z przewodnika o wdzięcznej nazwie Gazela, który ma tą zaletę że jest w nim ciepła woda i jest w centrum. Udajemy się w miasto które tętni życiem, są otwarte patiserie ale restauracje nie.





Próbujemy tunezyjskiej specjalności czyli naleśnik zapiekany z jajkiem, tuńczykiem serem i harissą, knajpka jest pełna ludzi, niektórzy kupują je na wynos.

Na zakończenie herbatka i rogi gazeli tutejsza specjalność czyli farsz migdałowo orzechowo słodki zawinięty w ciasto w rodzaju naszego chrustu(faworka) i usmażone w głębokim tłuszczu, całość na koniec łąduje chyba w miodzie.



Słodkości to osobny temat, Tunezyjczycy je uwielbiają i spożywają w ogromnych ilościach.



Spożywamy po dwa gule lekarstwa i kładziemy się spać.

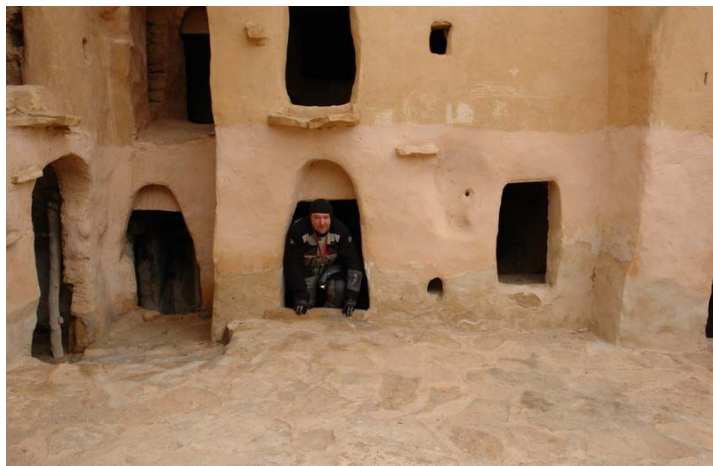
11.12.2008

Wstajemy o poranku, widok za oknem jest zgoła odmienny od dnia wczorajszego, ale nikt nie obiecywał że będzie łatwo, jedziemy do roboty.



Plan na dziś zakłada Ksar Ouled Sultane, Chenini i nocleg w Matmacie teoretycznie mając doświadczenia dnia poprzedniego liczę na to że drogi w stosunku do tego co narysowane na mapie mają podniesiony standard.

Pierwsze kilometry potwierdzają moje przypuszczenia i do kсарu jedziemy wyasfaltowaną wąską dróżką prowadzeni przez GPS. Na miejscu zaczyna być zimno, temperatura około 10 stopni i mocny wiatr. Zwiedzamy kсар który jest obsługiwany przez dwójkę braci z których jeden sprzedaje herbatę a drugi swoje rysunki dodatkowo opowiadając historię kсарu czyli spichlerza dla pobliskiej wioski.





Ruszamy w kierunku Chenini na spotkanie z umówionym mieszkańcem wioski który dorabia jako przewodnik.

Pogoda zaczyna się robić paskudna nie dosyć że wieje i jest zimno to jeszcze zapowiada się deszcz. Zwiedzanie zajmuje około półtorej godziny, oglądamy między innymi jego domostwo, miejsce gdzie wytłacza się oliwę oraz panoramy wioski i terenu wokół.









Po zakończeniu lądujemy w restauracji obsługującej turystów i jemy zestaw tunezyjski, jedyne co tutaj podają.

Wychodzimy na zewnątrz i od tego czasu zaczynamy jechać w deszczu. Do miejscowości Beni Khedache droga jest ok, kilkanaście kilometrów za tą miejscowością gps nakazuje jazdę na Bayra, droga chyba będzie lepsza ale za rok. W dniu dzisiejszym była to glinianka na której nawet jazda na wprost powodowała uślizgi.

Ponieważ komentarze z za pleców nie były przychylne a i u mnie rozsądek wziął górę, cofnąłem się do asfaltu i próbowałem jechać do następnego rozwidlenia w kierunku na Baten Radhouane. Na krzyżówce asfaltowo szutrowej pojawił się drogowskaz Matmata 47 natchnęło mnie nadzieją, deszczyk już tylko kropił a szuter wyglądał na szeroki i twardy.

Obsługa potwierdziła że droga jest ok. Po 10 km dotarliśmy do rozwidlenia szerokiego w prawo wąskiego w lewo, gps nakazywał jazdę w lewo ale po kontroli wyglądało na to że obie drogi się łączą za parę kilometrów. Na tych rozstajach było też domostwo, ale mimo nalegań żony by się zapytać jak jest dalej nie skorzystałem z tej rady.

Po kilku kilometrach względnie płaskiego terenu zaczęły się podjazdy na których nie wiem z jakiego powodu była tylko śliska glina. Mimo to uparcie próbowałem brnąć do przodu nakazując małżonce wędrownkę na piechotę aby nie słuchać jęków. Niestety za czwartym stromym podjazdem wcale nie wyglądało że koniec jest blisko, jedyną rozsądną decyzją było wrócić do rozstajów i zapytać czy ta dróżka w prawo jest inna.

Gospodarz pozbawił mnie złudzeń mówiąc że droga jest trudna, zwłaszcza przy tej pogodzie. Musieliśmy zatoczyć koło mające 113 km aby dojechać do Matmaty w której wylądowaliśmy o zmroku. Szczęściem było że od Beni Khedache przestało padać i nawet wyszło słońce na chwilę.



W Matmacie śpimy w hotelu klasy turystycznej w byłym domostwie troglodytów obudzeni w połowie nocy przez trójkę Brazylijczyków którzy prosto z Tunisu dojechali do Matmaty, aby o poranku zrobić sobie sesję zdjęciową w stroju księżniczki Lei i Luka Skywalkerera.

Domy te to dziura w ziemi gdzie od głównego korytarza rozchodzą się pokoje, czyli takie mniejsze jaskinie, w środku jest nawet ciepło, ale wyjście do toalety w nocy to spore wyzwanie ze względu na temperaturę (2 stopnie) oraz przeciągi.

W zasadzie to dzisiaj jest 1 rocznica wyjazdu do Tunezji i wiele faktów umknęło a część być może zapisała się w pamięci trochę niezasłużenie. Ponieważ jednak pozostał nam pewien niesmak po tej wycieczce, raz z powodu kłopotów dnia codziennego, dwa z powodu niedokończonej relacji, która nikogo nie interesowała, a mnie odbijała się czkawką przez cały rok, że znów nie starczyło mi zapału aby coś zrobić porządnie czyli do końca. Ponieważ znalazł się jeden czytelnik który zauważył że to nie był koniec tej wycieczki zmobilizowany postanowiłem jednak dociągnąć do końca.

Dedykuję tą część relacji koledze Endriuzet bo dzięki niemu możecie doczytać dalszą część wycieczki do Tunezji.

Ostatni opis skończył się na przybyciu do Matmaty i może teraz go trochę rozszerzę. Jak już napisałem poprzednio cofnęliśmy się do Beni Khedane i kierując się na miejscowość Medenine jechaliśmy piękną widokową drogą gdzie w promieniach zachodzącego słońca widać w oddali zatokę Gabes.



Odcinek do Matmaty przez Toujane też jest widokowo piękny i dodatkowo atrakcyjnie motocyklowo, niestety dla nas za Toujane było już kompletnie ciemno i wyprzedzanie dymiącego ale jednak jadącego dość szybko LC200 powiodło się dopiero kilka kilometrów przed Matmatą.

Temperatura spadła do 4 stopni i byliśmy szczęśliwi znajdując hotel klasy turystycznej w dawnym domostwie troglodytów.

12.12.2008

Rano pospacerowaliśmy w kierunku centrum jednakże miasteczko jest rozwleczone a my jak się okazało spaliśmy na jego skraju. Zakupiwszy tamtejszy chleb (tabouna) wróciliśmy do hotelu i postanowiliśmy zwiedzić pobliską wioskę która według przewodnika miała być mniej turystyczna, a oferowała te same atrakcje czyli domy w ziemi.

Wyjeżdżając z Matmaty mijamy wzgórze na którym wzorem z Hollywood widnieje odpowiedniej wielkości napis Matmata. Kierujemy się wskazaniem GPS na miejscowość Haddej zjeżdżamy z głównej drogi za jakieś 3 km kończy się asfalt ale widać że droga jest sucha i twarda.

Mijamy budowę mostka przez rzekę, suchą w tym momencie i w pewnym momencie zorientowaliśmy się że jesteśmy już w miejscowości, dosyć trudno się zorientować bo domy są skrzętnie ukryte pod ziemią i tylko zwierzęta gospodarskie czasami wskazują na obecność zabudowań.







Ponieważ ciężko się zorientować czy droga doprowadzi nas z powrotem do Matmaty a pasażerka ma świeże wspomnienia z wczorajszych spacerów zawracamy i udajemy się w kierunku Douz.

Po drodze mijamy urocze miasteczko Tamerzet gdzie można napić się herbaty, mijamy ciężarówkę z dużym napisem „Jonatan on Tour” i spotykamy pierwsze duże stado wielbłądów.





Douz jest nazywane wrotami pustyni, ponieważ leży na skraju pustyni, a w samym miasteczku jest wiele atrakcji stworzonych dla turystów takich jak przejażdżki quadami, wielbładami czy też samochodami terenowymi po pustyni.

Ponieważ nocleg w Matmacie nie pozwolił nam na poranny prysznic bo był problem nie tylko z ciepłą wodą ale ogólnie z wodą, to w Douz zafundowaliśmy sobie nocleg w hotelu w wiosce turystycznej o wdzięcznej nazwie „Sahara Douz” który miał nawet cztery gwiazdki.



W recepcji trochę zbyt beztrosko zapytałem o możliwość przejażdżki wielbłędem lub samochodem terenowym. Panu oczy się zaświeciły bo już zwiertzył możliwość dodatkowego zarobku.

W zasadzie od tego momentu zaczęliśmy poznawać nieskomplikowany system prowizyjny, zauważony jeleń jest w części mój ponieważ ja zobaczyłem go pierwszy. W momencie wyartykułowania tekstu o wycieczce już byliśmy na straconej pozycji.

W ciągu pół godziny do naszego stolika przysiadł się młody biznesmen który został przyprawiony przez recepcjonistę i zaczęły się targi. Stawką była wycieczka do Ksar Ghilane oraz przejażdżka wielbłądami. Ponieważ nie dano nam możliwości porównania ofert próbowaliśmy nieśmiało bronić się wiadomościami ze stosunkowo świeżo wydanego przewodnika. Po długich targach stanęło na połowie kwoty za jazdę samochodem przez pustynię wraz z półtoragodzinną przejażdżką na wielbłądach. Tutaj chciałem 2 godziny pan proponował godzinę, wywalczyłem te pół godziny oraz wizytę w hammamie (niby turecka gorąca łaźnia) który był na terenie hotelu.

Umówiliśmy się na wielbłądy na zachód słońca i w poczuciu zadowolenia udaliśmy się do pokoju, który był przestronny czysty z ładnym widokiem ale zimny jak zawsze.



Wycieczkę na wielbłądach zapamiętam do końca życia bo co to za przyjemność być ciągniętym na sznurku po piaskownicy. W swojej naiwności myślałem że damy czadu po pustyni a nie spacer na lonży. Po pierwszych piętnastu minutach cieszyłem się ze nie byłem twardy w negocjacjach bo 2 godzin bym nie zdzierzył. Beata była zadowolona bo wypytała o wszystkie zawłości religijno rodzinne naszego młodego przewodnika.



Wieczorem poszliśmy do hammamu, trzeba dodać że dojście polegało na przejściu przez ogród, gdzie panowała raczej chłodna atmosfera, do pomieszczenia gdzie był duży basen podobną z wodą zasilaną z gorącego źródła. Widok i zapach wody trochę zredukował nasz zapał, ale w końcu wytargowaliśmy te ekstrasy.

Najpierw skorzystaliśmy w przebieralni z lodowatego prysznica a następnie spróbowaliśmy się rozgrzać w basenie w temperaturze około 20 stopni, stwierdziłem że tutaj pewnie woda

jest wychłodzona a z drugiej strony basenu spływa pewnie ciepła, przemaszerowaliśmy w tej burej brei na drugi koniec aby stwierdzić że tutaj też panuje ta sama temperatura.

Niezrażony stwierdziłem idziemy do tej łaźni, wyskoczyliśmy z basenu i szcękając zębami pomknęliśmy do następnego pomieszczenia gdzie było równie chłodno, zapach jak był mocniej skoncentrowany a woda w tej samej temperaturze, nastąpił szybki odwrót do przebieralni gdzie ogrzaliśmy się suszarkami do włosów i pomknęliśmy do baru aby się rozgrzać, dwie wódki z fig pozwoliły nam odzyskać równowagę.

Pan z obsługi stwierdził że zaprasza nas na drugi dzień bo akurat dziś nastąpiła awaria urządzenia dostarczającego parę techniczną. Od teraz musimy polegać na tym co uda się nam zakupić na miejscu, bo nasze lekarstwo skończyło się w Matmacie.

13.12.2008

Z samego rana przygotowani na wycieczkę przez pustynię czekamy na naszego przewodnika, niestety nasz biznesmen jest człowiekiem zapracowanym i nie będzie z nami się włączył po piachu. Nasz kierowca mówił bardzo dobrze w swoim ojczystym języku i był fanem muzyki Maloud lub mezwed ciężko nam to odróżnić ale aby mieć wyobrażenie to proszę sobie coś wybrać, zamknąć w samochodzie i puszczać na okrągło przez 4 godziny

<http://www.mac125.com/tunisie-tunisie//modules.php?op=modload&name=Downloads&file=index&req=viewswdownload&sid=1>

w okolicach końca wycieczki zacząłem się nawet zastanawiać nad zakupem jakiejś płyty. Sam przejazd przez pustynię polegał na obserwacji GPS i jak się okazało można bez problemu przejechać z mapą Tunisa V11 na pokładzie.

Szlak bez problemu można przejechać lekkim motocyklem, spotkaliśmy 2 na swojej drodze. W połowie drogi jest Caffé jak się okazuje prowadzone albo będące własnością Jonatana którego ciężarówkę spotkaliśmy po drodze. Facet postanowił urządzić sobie życie z dala od zgiełku cywilizacji próbując jednocześnie czerpać z tego korzyści ekonomiczne <http://www.zeit-fuer-freiheit.de/>.











Najtrudniejszy odcinek to rejon starego rzymskiego fortu przed samą oazą, gdzie mamy rejon samych diun i utwardzony szlak widoczny przez większą część drogi teraz jest całkowicie niewidoczny.

Po krótkiej wizycie w oazie, wypiciu herbaty oraz krótkim spacerze po rozległym terenie, który skrywa komercyjne, klimatyzowane namioty dla bogatych turystów z europy żądnych pustynnych wrażeń.





Zdegustowani wracamy najszybszą drogą asfaltem do Douz, z perspektywy lepiej było samemu dojechać nawet asfaltem do Ksar Ghilane niż tłuc się tam samochodem, bo najładniej jest przy oazie. No ale doświadczenie zdobywa się w boju a nie siedząc w domu. Wieczorem ponownie trafiamy do baru gdzie jeden z barmanów usilnie zaprasza nas do swojego domu na następny dzień. Beata bardzo by chciała ale jednocześnie boi się tego ile nas to będzie kosztować. Masażysta z hammamu próbuje nas zaciągnąć do rzekomo czekającej tylko na nas łaźni, ale nie z nami te numery, uśmiechając się dziękujemy i idziemy spać.

14.12.2008

Rano pakujemy motocykl z zamiarem dotarcia do Touzeur, decydujemy się też na wizytę w berberyjskim domu u naszego barmana. Docierając do motocykla stwierdzam że mamy awarię, już po raz drugi od nowości, pękła tuleja mocująca centralną podstawkę, z trudem docieramy do przydrożnego warsztatu gdzie następuje wezwanie szefa. Szef udaje się na poszukiwania odpowiedniej śruby, po kilkunastu minutach wraca rozpromieniony trzymając w ręce odpowiednią część zamienną.

Docieramy do domostwa barmana, który oprowadza nas po swoich włościach z dumą prezentując gromadkę dzieci swoich i szwagra, swoje siostry, matkę przykutą do łóżka. Dostajemy propozycję zjedzenia wspólnego posiłku, jednocześnie prezentując miejsce jego przygotowania.

Pewnym jest że sposób prowadzenia kuchni daleki jest do europejskiego, właśnie odbywał się proces przyrządzania kuskus w dużej miednicy gdzie kaszka była nawilżana wodą i rytmicznie mieszana rękami, druga siostra wybierała muchy wpadające do przygotowanego rosółu. Zasiadliśmy do herbaty,

Beata siedząc naprzeciwko siostry barmana, która na 100% specjalnie była ubrana w tradycyjny berberyjski strój z rękami wymalowanymi henną oraz dziąsłami zabarwionymi na czerwono, obserwowała ją z zaciekawieniem. W zasadzie obie kobiety taksują się uważnie przyglądając się różnicom w ubiorze, szczególnie przypadły jej do gustu motocyklowe spodnie Beaty.

Robimy kilka zdjęć i obiecujemy że w przyszłości jeżeli Allah pozwoli to zwalimy się im na nocleg, w obejściu jest rozstawiony tradycyjny namiot z którego można skorzystać.



Droga asfaltowa do Touzeur przebiega groblą przez wyschnięte jezioro i sama w sobie nie jest atrakcyjna poza widokiem samego szotu oraz jeżeli ktoś czuje się na siłach to może spróbować jazdy po powierzchni szotu.



Docieramy do Touzeur ale tym razem nauczeni doświadczeniem nie chcemy żadnego noclegu w wiosce turystycznej, tylko szukamy miejsca blisko medyny. W przewodniku był opisany hotel Belveder znajdujemy adres ale pod tym miejscem jest nazwa ale miejscowi zeznają że tam jest teraz burdel że i owszem kiedyś za francuskiego protektoratu to hotel był ale teraz już nie. Polecają nam hotel Gazni który jest dla turystów oraz drugi który jest bardzo tani ale tam to lepiej nie.

Decydujemy się na Gazni, zaletą jego jest że ma duży zamknięty dziedziniec i jest bliski medyny i miasta gdzie żyją normalni ludzie a nie obsługa turystów. W hotelu jest bar gdzie schodzimy się napić i po chwili już wiemy że jest to najgorsza spelunka w jakiej byliśmy, aby lepiej oddać klimat dodam że oprócz Beaty była tam jeszcze przedstawicielka płci określanej zwyczajowo jako płeć piękna. Sam hotel też nie należał do najczystszych, pierwszy raz w czasie naszej podróży Beata spała ubrana bo w pościeli można było znaleźć długie czarne włosy.

Udajemy się na spacer, ponieważ celem naszych jest chęć zobaczenia oazy z której słynie Touzeur zaczepieni przez młodego cwaniaka sprawnie mówiącego po angielsku mówimy że i owszem chcemy jechać do oazy ale nie dzisiaj (robiło się już ciemno) tylko jutro i chcemy kogoś kto mówi po angielsku.

Oczywiście nie ma problemu mam kolegę który mówi i ma dorożkę, jak się potem okazało młody zainkasował swoją prowizję od naszego nowego przyjaciela z którym umówiliśmy

się na 10.00 rano. Zawożąc nas pod hotel trafiamy na kierownika sklepu Artisana (to taka ichnia cepelia) który to sklep był zlokalizowany w tym samym budynku co hotel i w którym z rana chcieliśmy kupić dwa dywaniki na pamiątkę.

Kierownik ów na nasz widok zaczął zagajać po angielsku, że ma nadzieję że nasz dorożkarz już nam powiedział gdzie jest najlepszy sklep na zakup pewnych oryginalnych produktów tunezyjskiego rzemiosła artystycznego.

Dorożkarz oczywiście potwierdził, bo chociaż nie wspomniał nam o tym ani słowem, to w tym momencie trafił na listę płac owego kierownika. Włączymy się jeszcze do późna w nocy po miasteczku przypatrując się ciekawie toczącemu się życiu. Jeszcze jedna wizyta w spelunce w celach zdrowotnych i kładziemy się spać.



15.12.2008

Okna hotelu zlokalizowane są w pobliżu minaretu z którego o odpowiedniej porze rozlega się śpiew muzeina. Pogoda nie jest specjalnie łaskawa bo za oknem jest pochmurno i wieje zimny wiatr. Przed umówionym spotkaniem z dorożkarzem idziemy do sklepu z dywanami, wprowadzie podobno najlepsze dywany pochodzą z Kairouan ale mając sklep pod nosem decydujemy się przynajmniej je pooglądać.

Po wejściu zostajemy zarzuceni prezentowanymi dywanami i po półgodzinnej prezentacji zostajemy specjalistami w rozpoznawaniu rodzaju dywanu oraz wzorów stosowanych przy ich wyrobie. Po krótkich negocjacjach zostajemy właścicielami 2 sztuk, zostawiamy je w sklepie prosząc o zrobienie małych pakunków pasujących do kufrów. Udajemy się na spotkanie z dorożką w celu zwiedzenia oazy oraz podobno interesującej skały zwanej Belweder z której ma się rozciągać piękny widok na oazę.

Oaza jak oaza, rosną tam palmy i uprawiane są różne warzywa rosnące pod osłoną palm. Przewodnik widząc pracujących robotników proponuje na atrakcję. Może on poprosić któregoś z pracujących aby specjalnie dla nas wspiął się na palmę, jest bardzo niepokieszony gdy grzecznie odmawiamy, po zastanowieniu jesteśmy wręcz pewni że ludzie ci byli specjalnie w tym miejscu aby zarobić jakiś grosz oczywiście naszemu przewodnikowi wpadłaby do kieszeni prowizja.

Wyjeżdżamy z oazy licząc że udajemy się w kierunku skały, przewodnik bąknął coś o odwiedzeniu piekarni. Myśląc o tej ekstra atrakcji liczyłem na jakieś świeże pieczywo, ale robiło się coraz zimniej a okolica coraz bardziej posępna. Zauważyliśmy że kierujemy się na niedużą szopę z jakimś piecem i po chwili już wiedzieliśmy że nie odwiedzamy piekarni tylko cegielnię.

Trzeba dodać że Touzeur słynie z budowli wykonanych z małych cegieł w różnych kształtach i jak się okazało trafiliśmy do takiej małej wytwórni należącej do jednej rodziny która podobno od 8 pokoleń wykonuje ten zawód.





Oczywistym dla nas było że zostaliśmy sprowadzeni do tego miejsca w jednym celu, mieliśmy zostawić trochę grosza na zakupach umożliwiając naszemu przewodnikowi pobranie prowizji.

Spędziliśmy tam prawie godzinę słuchając wykładu i praktycznej prezentacji i przygotowania masy do wyrobu cegieł po gotowe wypalone produkty. Na koniec weszliśmy do szopy gdzie oczekiwały gotowe wyroby na sprzedaż, kupujemy magiczny dzbanek jednocześnie mówiąc że płacimy za pokaz i wiedzę niż za wyrób.

W prezencie dostajemy cegłę jednym ze wzorków stosowanych w miasteczku. Jest już bardzo chłodno a my jesteśmy trochę zdegustowani systemem obsługi turystów, nie wyobrażam sobie jak brutalnie wygląda walka o turystę w sezonie turystycznym. Po powrocie do hotelu pakujemy motocykl i podjeżdżamy do centrum na posiłek, który zjadamy w arabskim fast foodzie w którym jedzenie znacznie różni się na korzyść od tego co można zjeść w Polsce, królują oczywiście wszelkiego rodzaju naleśniki, na krótką chwilę wychodzi słońce.





Po krótkim kluczeniu trafiamy na wyjazdową drogę w kierunku miejscowości Redaye.

Pogoda zdecydowanie się pogarsza, zaczyna kropić deszcz i temperatura spada do około 7 stopni. Próbujemy robić zdjęcia w rejonie górskich oaz Chebbika ale pogoda zdecydowanie nam nie sprzyja.





Mijamy miasteczko Tamerza i podejmujemy decyzję skróceniu planu zwiedzania, następne dwa noclegi spędzimy w świętym mieście muzułmanów Kairouan (cztery pielgrzymki do tego miasta załatwiają jedną wizytę w Mekce).

Jesteśmy blisko granicy z Algierią i chyba z tego powodu jesteśmy zatrzymani do kontroli dokumentów, wojskowi życzą nam miłej podróży i po niedługim czasie trafiamy do górniczego miasteczka Redaye gdzie widzimy zwiększoną ilość policji która przygotowuje się na obstawę manifestacji protestujących górników.

Jedynym ciekawym elementem tej drogi był zjazd z płaskowyżu po ładnych serpentynach z wyprzedzaniem wolno jadącego wozu policji po jego prawej stronie. Wieczorem docieramy do Kairouan i już po paru metrach próbują nas wciągnąć do sklepu z dywanami, jesteśmy wychłodzeni i decydujemy się na jeden z droższych noclegów, Hotel Kasbah należący do krajowej sieci hotelowej Yasmine.

Jak w każdym poprzednim miejscu i w tym jest chłodno ale działa klimatyzator który ma funkcję grzania. Tradycyjnie zażywamy lekarstwo w hotelowym barze i idziemy spać.

16.12.2008

Jeżeli ktoś planuje zakup dywanu to prawdą jest co piszą w przewodnikach, że najlepsze dywany pochodzą z Kairouan. W mieście czuje się religijną atmosferę, byliśmy świadkami jak miejscowy kaznodzieja w asyście swoich dewotów wjechał na suk półciężarówką z wielkim megafonem i zaczął kadzić jak wielki grzech popełniają uprawiając handel w dzień święty, kupcy zbyt wiele sobie z tego nie robili, możliwym jest też że grzmiał coś bardziej przyjemnego.

Miasto jest dosyć duże a jego najciekawsza część, dla nas Europejczyków, czyli medina jest dosyć przestronna i niezbyt brudna. Korzystamy też z przywileju poruszania się po mieście poza sezonem turystycznym. Zwiedzamy najładniejszy sklep z dywanami, który mieści się w domu bogatej rodziny tunezyjskiej o jest widoczne na pierwszy rzut oka. Panowie mając poczucie własnej wartości bez nachalności prezentują poszczególne wyroby. Oczywiście jest poczęstunek tunezyjską herbatą i podczas jej spożywania toczy się luźna rozmowa na temat dywanowego biznesu. Podejmujemy negocjację pięknego jedwabnego dywanu ale wiemy że jest poza naszym zasięgiem.

Spędziliśmy tam prawie godzinę w bardzo miłej atmosferze, mimo tego że zadeklarowaliśmy brak chęci jakiegokolwiek zakupu, na miejscu znajduje się też mały warsztat gdzie można zobaczyć jak powstaje dywan. Kręcąc się po różnych zakamarkach znajdujemy mały warsztat produkujący materiał na chusty. Zachęceni robimy zdjęcia i pytam o restaurację właściciel próbuje tłumaczyć w końcu stwierdza że nas zaprowadzi, próbujemy protestować, ale pan jest nieugięty.

Oczywiście po drodze chce nam pokazać jedno widokowe miejsce, wchodzimy do budynku, do którego już wcześniej chciał nas zaprowadzić inny dzieciak, wychodząc schodami na górę przechodzimy przez pomieszczenie gdzie są składowane dywany. Wychodzimy na taras i rzeczywiście widać medynę z góry, ale ja już tylko kombinuję ile to nas będzie kosztować. Schodząc na dół w pomieszczeniu z dywanami już czeka

sprzedawca w blokach startowych, trzymając w rękach dywan, na nasz widok rozwija go do prezentacji.

Błyskawicznie wymieniamy nazwę dywanu i gasimy jego entuzjazm w zarodku mówiąc że jesteśmy specjalistami od dywanów i nic nie kupimy. Na koniec jesteśmy doprowadzeni do małej knajpki i tam żegnamy naszego przewodnika który rozmawia przez chwilę z właścicielem knajpki i po chwili zadowolony odchodzi.

Zamawiamy jakiś zestaw do jedzenia, jest nawet piwo, ale muszę je spożyć wewnątrz pomieszczenia, po posiłku dostajemy rachunek, który tknięty przeczcuciem sprawdzam, oczywiście właściciel knajpki próbował sobie zrekompensować prowizję wypłaconą przewodnikowi. Widać że jest bardzo zmieszany ułatwiam mu wybrnięcie z tej sytuacji, mówiąc że musiał sobie źle zsumować poszczególne pozycje. Reszta dnia mija w przyjemnej atmosferze.

17.12.2008

Po śniadaniu pakujemy rzeczy na motocykl, udaję że nie widzę pracownika hotelu, który liczy na prowizję za rzekome pilnowanie motocykla. Jedziemy do Tunisu gdzie mamy zarezerwowany hotel Abu Nawas. Krajobraz mijany po drodze przypomina tereny naszych Beskidów tylko niepokrytych lasem.

Tunis a szczególnie jego medyna różni się diametralnie od tego co zastaliśmy na początku naszej wycieczki, jak ktoś lubi tłok to jest to idealne miejsce, jedynym plusem jest że po zejściu z głównego traktu z chińskimi pamiątkami, można trafić na miejsca w których można podglądać miejscowych rzemieślników produkujących autentyczne wyroby. Jedziemy jeszcze, najpierw taksówką do muzeum Bardo

<http://bardomuseum.com/home.html>

poznając uroki zakorkowanej stolicy. W drodze powrotnej korzystamy z komunikacji tramwajowej co jest lepszym rozwiązaniem.

18.12.2008

To jest już ostatni dzień pobytu w Tunezji i w zasadzie próbujemy zakupić jakieś ostatnie pamiątki, oliwa, tuńczyk, wino itp. Wieczorem jedziemy do portu trochę już zmęczeni pobytem w stolicy, drugim powodem frustracji jest sam powrót (koniec wycieczki). W porcie co rusz oganiamy się od załatwiaczy, pomagaczy oraz sprzedawców, szczególnie Beata zaczyna przejawiać objawy lekkiej agresji, przegięciem była próba sprzedania nam klatki na papugi wysokości 2 metrów, innym problemem są młodzieńcy którzy podchodzą jak do ciebie jak do bankomatu ty masz im wypłacić bo jesteś z europy. Godzinę przed otwarciem pojawia się załatwiacz prosząc o przesunięcie motocykla bo musi przejechać auto z korpusu konsularnego, Beata mówi ok przesuniemy motocykla za 50 EUR, gościa lekko zatkało, próbuje protestować ale Beata jest nieugięta kończy się tym że auto przejeżdża po wysokim krawężniku i staje przed bramą. Oczywiście załatwiacz oś tam inkasuje od kierowcy auta i zadowolony odchodzi. Pakujemy się na prom i po 24 godzinach około 12 w nocy odbieramy samochód z przyczepą z parkingu płacąc 20 EUR za każdą dobę i wkurzeni wyjeżdżamy jak najdalej od Genui.

20.12.2008

Późnym wieczorem docieramy do domu zadowoleni że będziemy spać we własnej pościeli.

Reasumując do Tunezji musimy pojechać jeszcze raz, do zobaczenia mamy jeszcze całą północ kraju, koncentrując się bardziej na południu kraju w kierunku granicy w Algierią. Myślę że najlepszą porą na wizytę jest kwiecień, maj lub wrzesień październik (podobnie Maroko) z tym że preferowałbym pierwszy termin gdzie wegetacja już ruszyła, w drugim terminie mamy więcej owoców. Jeżeli brałbym przyczepę na motocykl to najgorszym rozwiązaniem jest zostawianie zestawu w mieście portowym.

Jadąc w wyżej wymienionych terminach nie ma też problemu z noclegiem pod namiotem, aczkolwiek nie widzieliśmy kampingów. Kraj jak na moje odczucie bezpieczny i nigdy nie mieliśmy powodów do niepokoju ani też nie byliśmy w stresie gdy motocykl stał na zewnątrz, no ale byliśmy BMW a tego nikt nie lubi i nikt nie chce.